

Legioniści po 17-tu miesiącach walki.

Z końcem roku ubiegłego minęło siedemnaście miesięcy wojny i takież prawie okres kampanii Legionów. Przez ten czas Legioniści polscy walczyli na kilkunastu frontach: w Królestwie Polskim, w Galicji, na Węgrzech, w Bessarabii i t. d., wszędzie okrywając się zasłużonym laurem sławy. Od chwili wyruszenia pierwszych żołnierzy polskich w bój, różne koleje przechodziła wojna, a z nią Legiony. Ich duch nie osłab jednak i nie zmniejszyła się bynajmniej ich siła liczebna. Wiele mogił wyrosło wprawdzie od tego czasu, ale wciąż przybywają nowe szeregi polskich ochotników i powstają nowe formacje Legionistów, którzy walczą dziś razem, zjednoczeni jedną myślą i jedną nadzieją — choć różne przechodzili koleje w ciągu minionej siedemnasto-miesięcznej kampanii.

Jaki panuje wśród nich nastrój po tylu przebytych trudach i wśród czyhających wciąż niebezpieczeństw na polu walki, okazało się w czasie uroczystości, jakie odbyły się na froncie w wigilię Bożego Narodzenia. Na uroczystą tę chwilę przybył do rowów strzeleckich ksiądz biskup Bandurski, a te odwiedziny opisuje barwnie redaktor „Nowej Reformy” pan Srokowski.

Z daleka słysząc — pisze — tętent kopyt końskich. Po chwili na zakręcie drogi rozwija się długi szereg szarych jeźdźców. To nasi ułani. Dowódca ostro podjeżdża do biskupiego powozu.

— Rotmistrz O... melduję się posłusznie, jako komendant eskorty! — rozlega się po lesie donośny,



Legiony po 17-tu miesiącach walki: Odpoczynek w rowie strzeleckim. (Fot. Dep. Wojsk.)



Ksiądz biskup Bandurski (X) wśród Legionistów na froncie.



Brygadyer Piłsudski (ostatnie zdjęcie w dniu wigilii Bożego Narodzenia)



Legiony po 17-tu miesiącach walki: Przeprawa przez Wisłę

(Fot. Dep. Wojsk.)

dźwięczny głos dowódcy jednego z dzielnych szwadronów legionowych. W mig koliskiem ułanów otoczeni, jedziemy, chłonąc w piersi nie tylko czyste, zimne powietrze lasu, ale także i dzielność, dzielarskość i zawadyackość tych polskich ułanów, którzy przeszli Karpaty, nad którymi unosi się duch Rokityny...

Jeszcze mała godzina jazdy, a między drzewami lasu zaczynają się rysować kontury domków. Za chwilę wylania się cały obszerny, świeżo wyrąbany plac. Słychać głos komendy. Szwadron ustawia się w ordynku na baczność. Przejeżdżamy bramą tryumfalną z napisem: „Witajcie!”, a z szarego koła muzykantów szóstego pułku lecą mocne dźwięki: „Jeszcze nie zginęła”...

Tuż za cmentarzem ziemianka rotmistrza, ładnie w ziemię wkopana i starannie przykryta. Kilku drzewem wyłożonymi schodkami schodzimy na dół. Drzwi z nieheblowanych desek sosnowych otwarte na oścież. W nich sympatyczny gospodarz w otoczeniu swoich oficerów. Serdeczne przywitania i sadowienie się wzdłuż ścian na ławach koło długich stołów. Ściany dobrze drzewem wyłożone i bogato dekorowane. Wieńce choiny dokoła, przewijane niby szarfami — taśmami naboł do karabinów maszynowych. Oryginalne te festony podpięte skrzyżowanymi szablami ułańskimi i karabinkami. W środku zaś Orzeł Biały w szczególnie starannym obramieniu. Tu, o trzy, czy cztery kilometry od Moskali, którzy w każdej chwili przy dobrej woli mogą nam obok tych półmisków z karpem smażonym ułożyć piętnastocentymetrowy granat, takie zebranie, w takiej „sali”, w tem towarzystwie ma swój niewy-